

# James Goodwin



# Spisek

---

Tytuł oryginału: *The Plot*

© 1993 by James Goodwin  
© 2020 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-50-5

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.  
Warszawa

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.  
Warszawa Pierwsze wydanie Wydawnictwo AiB ukazało się pod tytułem pod  
tytułem Angola Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB oraz  
Espadon Publishing Sp. z o.o.  
ebook@espadon.cba.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone

James Goodwin

# Spisek

Przekład: Tomasz Piwowarczyk

ESPADON PUBLISHING  
W A R S Z A W A 2020

# 1

Była wigilia Bożego Narodzenia 1992 roku. O godzinie 19.33 wysoki mężczyzna o włosach w kolorze cyny wszedł do sklepu z bronią należącą do Wandy Lou w Sheridan, w stanie Wyoming, i udał, że nie rozpoznaje sprzedawcy, byłego majora Armii, Eda Partaina. Na zewnątrz, czyli dokładnie 35 kilometrów na południe od granicy z Montaną, było mroźno i sucho – wilgotność nie przekraczała piętnastu procent, a temperatura sięgała tyłuż stopni poniżej zera. Tymczasem siwowłósy ubrany był jak jakiś urzędnik z Denver albo nawet Santa Fe – miał na sobie lewką, raglanową marynarkę z owczej wełny, narzuconą na konserwatywną koszulę w kratę. Stopy tkwiły w czarnych półbutach z cienkimi podeszwami; półmetrowa warstwa brudnego śniegu zalegającego w Sheridan miała je wkrótce zamienić w ruinę.

Ed Partain pozwolił mężczyźnie o siwych włosach rozglądać się przez dwie minuty, zanim odchrząknął uprzejmie i zadał równie uprzejme pytanie: – Może w czymś pomóc?

Mężczyzna pokiwał głową, wciąż nie odwracając się do Partaina.

– Potrzebuję na szybko prezentu lub dwóch – powiedział, spoglądając na rzekomo kuloodporne kamizelki. – Co pan proponuje?

– To zależy – powiedział Partain. – Dla mamy, małżonki lub dziewczyny proponowałbym rozważyć zakup względnie rzadkiego i nadzwyczaj poręcznego Walthera PPK – zgrabny model kieszonkowy z 1913 roku, rzecz jasna. Dla papy poleciłbym dubeltówkę Purdy robioną na zamówienie, którą możemy zamówić w Londynie, choć będzie to kosztować pięć tysięcy dolarów zaliczki, a dostawa może potrwać dwa, trzy lub nawet cztery lata. Niemniej tatuś z pewnością a doceni pańską wspianałomyślność i z radością zgodzi się zaczekać.

Siwowłósy odwrócił się od kamizelek kuloodpornych, podszedł powoli do lady, oparł obie dłonie na szklanym blacie i wymierzył wzrok w byłego majora. Partain zauważył, że oczy przybysza wciąż mają taki kolor, jak lód na rzece tuż przed odwilżą.

– Z początku nie byłem pewien, Ed, czy to ty – powiedział. – Przynajmniej dopóki nie otworzyłeś ust i nie zacząłeś chrzącić po swojemu.

– Ja również ledwo pana poznałem, kapitanie Millwed. To z powodu nowego koloru włosów.

– Pułkownika Millwed.

– Mój Boże! W Armii nikt by przecież... a może... a nawet na pewno. Moje gratulacje.

Pułkownik Millwed puścił mimo uszu wątpliwy komplement i spytał: – Wanda Lou jest?

– Wanda Lou umarł siedem lat temu, podobnie jak Bob Marley. Sklep przeszedł na własność Alice Ann Sutterfield, ukochanej córki Wandy Lou.

– A ona tu jest?

– Będzie dopiero drugiego dnia świąt... w sobotę.

Pułkownik odwrócił się i raz jeszcze ogarnął wzrokiem wnętrze sklepu z bronią. Odwróciwszy się ponownie, zapytał: – Córnia płaci cokolwiek?

– Osiem sześćdziesiąt za godzinę – rzekł Partain. – Ale ponieważ mój tydzień pracy ma zazwyczaj sześć dni – z których każdy trwa okrągłe osiem godzin, muszę przyznać, że nie zarabiam źle. Jak na Wyoming. Poza tym, nie mam wielkich potrzeb i sam je zaspokajam.

– To Emerson pisał o masturbacji?

– Raczej Thoreau.

– Jak zareagowała Alice Ann, gdy jej powiedziałaś, dlaczego cię zdegradowano i tak dalej?

– Nie pytała, a ja nie miałem ochoty opowiadać. Ale nietrudno zgadnąć, że w końcu wysła kogoś, by ją poinformował – może świeżo upieczonego, nadętego oficerka, który spodobał się jakiemuś pułkownikowi. Albo, co bardziej prawdopodobne, pułkownika, który wciąż powinien być kapitanem. Dlatego nie zdziwiłem się, gdy wparowałaś, choć pochlebia mi, że wysłali w tym celu pułkownika.

– Nie pochlebiaj sobie – powiedział Millwed. – Sam się zgłosiłem.

– Powinienem być się domyślić. Ale dlaczego teraz? Czemu nie w zeszłym roku? Albo jeszcze rok wcześniej? Albo sześć miesięcy temu?

– Czy słyszano tu o „New York Timesie”?

– Owszem, ale ja go nie kupuję. Jestem na czasie dzięki błyskotliwemu dziennikowi „Sheridan’s” oraz radiowym audycjom informacyjnym BBC.

– Nie masz telewizora?

Partain zmarszczył brwi.

– Sądzisz, że powinienem?

– Jeżeli gustujesz w strzelaninach i sprzedanych półfinałach. BBC wystarczy. Będą to mieli wystarczająco wcześniej.

Partain spojrzął na upstrzony plamami, blaszany sufit starego budynku, jakby sprawdzał, czy nie przecieka.

– Wszystko zaczęło wylać, mam rację? – powiedział do sufitu i powrócił spojrzeniem do pułkownika Millweda. – Oczywiście wersja złagodzona i nieco ocen-zurowana.

– Pojawi się najpierw po hiszpańsku, z przybitą przez ONZ pieczęcią zezwolenia – rzekł pułkownik. – W ONZ sądzą – albo przynajmniej udają – że podadzą wszystko tak, jak było. Ale ja i ty, Ed, wiemy jak było.

– Ty zaś zjawiałeś się tu pod jakim pozorem? Chcesz udzielić mi przyjacielskiego ostrzeżenia?

– Czy takie ostrzeżenie może świadczyć o przyjaźni? – odparł pułkownik, nie oczekując odpowiedzi. – Ale skoro ostrzeżenia wywołują u ciebie wysypkę, potraktuj moją wizytę jako delikatny prztyczek, który z pewnością jest lepszy niż walnięcie w pysk.

Partain pokiwał w zadumie głową, po czym rozpogodził się i obdarzył Millweda firmowym fałszywym uśmiechem.

– Na pewno nie sprzedam ci jakiegoś cacka, skoro już tu jesteś, pułkowniku? Może coś niedrogiego, na wypadek gdyby cię chcieli zdegradować?

Millwed odpowiedział fałszywym uśmiechem, przy czym okazało się, że jego użębienie ma niespotykany, z pewnością nie biały kolor. „Nawet zęby mu siwieją”,

pomyślał Partain, a pułkownik powiedział: – Tylko się rozglądam, Ed, i tyle. Tylko się rozglądam.

Po wyjściu pułkownika do sklepu zjrzała jedna jeszcze klientka, jednakże nic nie kupiła. O dziewiątej wieczór Partain uruchomił system alarmowy; opuścił stalowe żaluzje na zewnątrz; upewnił się, że tylne stalowe drzwi są zamknięte i zaryglowane; wyłączył światła; zamknął frontowe drzwi na klucz i udał się trzy budynki dalej, do swego mieszkania. Kawalerka Partaina mieściła się nad podwójnym garażem w domu człowieka, od którego wynajmował lokal.

W środku Ed przejrzał i rzucił na stół korespondencję; wśród listów znalazła się kartka święteczna nadesłana z lokalnego banku, z której dowiedział się, że jego stan konta wynosił ostatnio 319 dolarów i 41 centów. Wypił porcję bourbona z wodą, podgrzał mrożonkę meksykańską, zjadł kolację i czas do północy spędził czytając „Dolinę Potępieńców” Freyi Stark, po raz trzeci z kolei. Kładąc się spać uświadomił sobie, że od 1989 roku każdy jego wieczór wigilijny przebiega właściwie w ten właśnie sposób. Stark nie mogła narzekać.

W pierwszy dzień świąt o 7.02 rano obudziło Partaina łomotanie do drzwi. Podniósł się leniwie, założył wyświechtany szlafrok w kratę, powłókł się do drzwi i powiedział: – Kto tam, do cholery?

W odpowiedzi rozległ się kobiecy głos. – To ja. Zwalniam cię – usłyszał. Partain otworzył drzwi. Ukazała się w nich Alice Ann Sutterfield, nader chuda i jasnowłosa kobieta w wieku lat trzydziestu dziewięciu. Stała na podeście i w temperaturze minus dziesięću stopni Celsjusza trzęsła się z zimna, choć miała na sobie rękawiczki, sweter, dzinsy podszyte flanelą, buty oraz ciepły płaszcz sięgający kolan. Szyję i usta osłoniła wełnianym szalikiem w kolorach zielonym i białym. Widać było tylko karmazynowe policzki, czerwony nos, zezowate orzechowe oczy i ciemnobrązowe brwi, zaprzeczające oryginalności jej włosów w kolorze masła.

Przyjrzała się bacznie Partainowi, jakby oczekiwała jakiejś gwałtownej reakcji, lecz gdy powiedział jedynie: – Tobie również życzę zdrowych i wesołych Świąt, Alice Ann – pociągnęła nosem i ruszyła do środka. Partain zamknął drzwi i, odwróciwszy się, zobaczył, że jej szalik jest lekko rozluźniony, a ona stoi pośrodku pokoju odrobinę mniej sztywno. Próbowwała groźnie na niego spojrzeć swymi zezowatymi orzechowymi oczyma, co jedynie potwierdziło teorię Partaina, iż zezowate oczy nie są do tego zdolne, niezależnie od barwy.

– Nigdy więcej nie pokazuj się w moim sklepie, Ed. Natychmiast oddaj mi klucze.

Partain podniósł pęk kluczy ze swego blatu kuchennego, będącego zarazem stołem i biurkiem, i wręczył jej.

– Zakładam, że już rozmawiałaś z pułkownikiem?

– Ten mężczyzna wyjechał z domu w Święta, zostawił rodzinę, żeby tutaj przyłeciec i ostrzec biedną wdowę o wszystkich potwornościach, których się dopuściłeś w... gdzieś tam w Ameryce Środkowej.

– Pułkownik nie ma rodziny, Alice Ann, a ty jesteś mi winna jedną tygodniówkę i dwa tygodnie urlopu.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Właśnie dlatego zepsułam sobie Wigilię i biegałam wczoraj jak wściekła po całym mieście, żeby zdobyć gotówkę i zapłacić ci do ostatniego grosza.

Wręczyła mu gwałtownym gestem białą kopertę.

– No, dalej. Przelicz. W środku jest cała suma.

– Więc nie ma sensu liczyć – skwitował Partain, odbierając kopertę i wsuwając ją do kieszeni starego szlafroka.

– Sama nie wiem. Być może nie zrobiłeś wszystkiego, o czym pułkownik Millweed...

– Pułkownik Millwed.

– ...o których on mówił, ale ja nie mogę przecież ryzykować, by jakiś dzikus dotykał moich karabinów. Nie byłabym pewna dnia ani godziny.

– Ani ja – zgodził się Partain.

– Wiem, że będziesz próbował odkręcać kota ogonem, bo dobrze wiesz, jaka jestem miękka. Tym razem jednak zdania nie zmienię, więc proszę, nie próbuj odkręcać kota ogonem.

– Nie będę – obiecał Partain.

Nie było za bardzo co pakować. Kilka książek, małe radio Sony, ubranie i przybory toaletowe, trochę dokumentów osobistych, aparat fotograficzny oraz półtorej butelki czarnej whisky – akurat, aby wypełnić płócienny worek wojskowy oraz część starej skórzanej torby firmy Cape, którą Partain nabył okazyjnie przed laty we Florencji.

Nie posiadał naczyń, szkła, sztućców, garnków, patelni, mebli ani pościeli. Te, których używał, należały do Neila, jego gospodarza. Neil powiedział, że przykro mu tracić podnajmującego i że zwalnianie pracownika w Święta to „czyste kurestwo”. Partain zgodził się z jego opinią, pożegnał się przez telefon i wystukał numer w Waszyngtonie.

Po trzecim sygnale odezwał się męski głos, wymieniając cztery ostatnie cyfry numeru wybranego przez Partaina.

– Tu Partain – powiedział Ed. – Przysłali wczoraj Millweda i straciłem pracę. Premia Świąteczna.

– Gdybyś był członkiem kościoła prawosławnego jak ja, do prawdziwych Świąt miałbyś jeszcze dwa tygodnie i zapewne mniej byś się teraz nad sobą litował. Millwed, powiadasz? Ralph Waldo Millwed, nasz pułkownik z doskoku, co ostatnio jest na fali?

– Skąd wiesz?

– Z plotek, rzecz jasna.

– Co proponujesz?

– Tak się akurat składa – choć zbieg okoliczności nie wchodzi tu w grę – że istnieje pewna opcja. Powiem ci, ale bardziej w ramach badania rynku, niż oferty.

– Słucham zatem.

– Zamożna, sześćdziesięciodwuletnia osoba umiera w Los Angeles. Poszukuje bystrego i odważnego kowboja, by rozwiązał dla niej ostatni problem. Interesujące?

– Cóż to za problem?

- Nie wiem, ale gaża wynosi tysiąc za tydzień plus koszty.
- Ile potrwa praca?
- Póki śmierć was nie rozłączy, jak sądzę – powiedział Grek.



## 2

Partain wręczył przedostatni pięćdziesięciodolarowy banknot kierowcy taksówki, z którym chwilę wcześniej targował się na lotnisku Los Angeles. Gdy taksówkarz odjechał, Partain upchnął w kieszeni 25 dolarów reszty. Odwrócił się i przyjrzał uważnie gmachowi prywatnego szpitala, wznoszącemu się po północnej stronie Olympic Boulevard, parę budynków na wschód od Century City. Minęła osiemnasta. Był wieczór Trzech Króli, i w ten styczniowy wtorek było już ciemno. Partain zaczął się zastanawiać, czy szpital zdążył już zrzucić świąteczną dekorację, czy też nie zwracano sobie w ogóle głowy jej przygotowywaniem. Co prawda nie ciekawiło go, jak było naprawdę, niemniej uznał swe lekkie zainteresowanie za zaskakujące. Dodało mu to nawet otuchy. Przypatrując się szpitalowi przez chwilę powziął podejrzenie, iż jego architekt ponad wszystko cenił długie płyty jasnego granitu, a projektant przestrzeni w równym stopniu florę odporną na suszę – teren wokół szpitala porastały kosztowne rośliny, które wyglądały na spragnione nawet podczas ulewy. Niemalże pieniądze wyłożono również na bezpieczny system zewnętrzznego oświetlenia, a Partain, któremu nie była obca robota elektryka, nie zdołał się doszukać w wykonaniu instalacji najmniejszego niedociągnięcia.

Wkroczył do budynku, niosąc w dłoni swą torbę z bawolej skóry firmy Cape, prześlizgnął się obok recepcji, windą dotarł na najwyższe piętro i wszedł do obszernego narożnego pokoju, w którym, jak poinformował go przyjaciel Grek, przebywać miał przyszły pracodawca Partaina, umierający na jakąś rzadką, acz wciąż opierającą się diagnozie dolegliwość.

Na łóżku szpitalnym siedziała ze skrzyżowanymi nogami kobieta. Miała na sobie chiński, czerwony szlafrok, obsiadły gromadą małych złotych smoków, które ryczały na siebie nawzajem – albo ziewały. Skończyła właśnie kawałek małej pizzy – ostatni, jak zauważył – z pudełka, w którym dostarczono posiłek i popijała teraz ostatni kęs resztką piwa Beck's.

Odłożyła butelkę, przyjrzała mu się bystrym spojrzeniem swych niezupełnie szarych oczu i powiedziała: – Ed Partain, jak się spodziewam?

– Zgadza się – powiedział.

– Założyłabym się, że Partainowie byli Kreolami, którzy zamieszkiwali tereny roponośne gdzieś... powiedzmy... w Opelousas? Lafayette? – Uśmiechnęła się do niego przelotnie, pokazując doskonałe uzębienie, które Partain uznał za dzieło życia wybitnie zdolnego protetyka. – Wybacz – dodała. – Zawsze wymyślam historie o ludziach, których widzę pierwszy raz.

– Moi starzy przenieśli się z El Paso do Bakersfield tuż po wojnie – powiedział. – Ojciec był kierowcą ciężarówki, a matka w naszym pokoju dziennym prowadziła salon piękności. Podejrzewam, że Partainowie wywodzą się z francuskich hugenotów, ale rodziców o to nie pytałem.

– A skoro tu jesteś, to z pewnością wiesz, że nazywam się Millicent Altford – powiedziała, odkładając pustą butelkę po piwie do opróżnionego kartonu, który zdjęła z podołka i położyła na łóżku. Następnie z wdziękiem opuściła nogi na podłogę i spytała: – Napijesz się piwa?

Partain powiedział, że z chęcią, i pomyślał, że ledwie wyczuwalnego akcentu rodem z Red River Valley musiała nabyć co najmniej siedemdziesiąt kilometrów na północny wschód od Dallas oraz nie mniej niż trzysta na południe od Oklahoma

City. W każdej jej kwestii w ślad za owymi tonami pojawiały się chłodne i chropawe nuty rodem z Chicago, gdzie spędziła cztery lata w prawniczej kancelarii „Fote, Cone i Belding”, nim jako sponsor przystąpiła do drugiej kampanii Adlaia Stevensona w 1956 roku.

Sunąc bosymi stopami po podłodze dotarła do niewielkiego, wbudowanego w meblowanie pokoju baru, który zachęcał do raczenia się ginem, szkocką, wódką, ale nie bourbonem. Stało tu także kilka kieliszków i szklanek, maleńki zlew z nierdzewnej stali wisiał nad miniaturową lodówką pokrytą chropowatą brązową okleiną, która w najmniejszym stopniu nie spełniała swego podstawowego zadania, to jest imitowania drewna orzechowego.

Kobieta schyliła się, nie zginając kolan, otworzyła drzwiczki lodówki i z nogami wciąż wyprostowanymi, choć oczy miała niemal na wysokości swych łydek, zająrzała do środka i zaproponowała Partainowi solidne pastrami na żytnim pieczywie, przysłane ze „Stage Deli”. Partain podziękował, mówiąc, że jadł w samolocie.

Wyprostowała się z tą samą łatwością, z którą się schyliła – w obu dłoniach trzymając butelki piwa Beck’s – i popatrzyła na niego z wyrazem twarzy, który uznał za przejaw współczucia.

– Jadasz w samolotach?

– Ze względów ekonomicznych – powiedział, odkładając torbę podróżną na podłogę.

– Spróbujemy coś z tym zrobić, nieprawdaż? – powiedziała, zamykając drzwi lodówki jednym ruchem bosej lewej stopy. Partain uznał, iż manewr ten musiała ćwiczyć już wcześniej, niewykluczone, że specjalnie układała do niego choreografię.

Millicent Altford podeszła bliżej i wręczyła mu piwo, po czym zrobiła zwrot i zapadła się w ciemnoniebieską, trzyczęściową sofę, zapraszając poklepując miejsce obok siebie, na środku mebla. Gdy już oboje siedzieli po przeciwległych stronach kanapy, Partain pociągnął łyk piwa i powiedział: – Powiedziano mi, że jesteś umierająca. Moim zdaniem to przesada.

– Kazałam im kłamać. To na wypadek, gdybyś nie przypadł mi do gustu. Mogłabym wtedy powiedzieć: „Wybacz, rozmyśliłam się. Muszę tyle załatwić, zanim odejdę”.

– Skoro nie jesteś chora ani nie umierasz, można by pomyśleć, że się przed kimś ukrywasz. Albo przed czymś. – Po raz kolejny powiódł spojrzeniem po obszernym narożnym pokoju. – Niemniej to chyba cholernie kosztowna kryjówka.

– Towarzystwo ubezpieczeniowe szpitala płaci co najmniej dwa tysiące dolarów dziennie plus dodatki.

– Jakie na przykład?

– Posiłki dla smakoszy. Dyrekcja szpitala zatrudniła francuskiego kucharza, który przygotował na metr długą kartę dań, więc teraz, leżąc rano w łóżeczku, mogę godzinę rozmyślać o tym, co podadzą mi dzisiaj do jedzenia. No i dla mnie wszystko to gratis.

– A dlaczego?

– Kiedy w 1983 roku powstały plany budowy tego szpitala, inwestorzy potrzebowali miliona z kawałkiem kapitału. Zebrałam całą sumę w cztery dni, nie wzię-

łam ani grosza za pożyczkę, i teraz przysługuje mi coś jakby wieczysty darmowy pobyt w tym przybytku.

– A tak właściwie, to leczą tu cokolwiek?

– Powiadają, że wyleczysz tu trypra jak nigdzie w tym kraju.

Partain ocenił, że kobieta wygląda bardziej na pięćdziesiąt lat niż rzezone sześćdziesiąt dwa, a i to jedynie z powodu krótko ostrzyżonych mocnych włosów, barwą i połyskiem przywodzących na myśl świeżo wypolerowane srebro.

Gdyby o nich zapomnieć, lub gdyby je farbowała z powrotem na miodowy blond, gdyż taki musiał być pierwotnie ich kolor, jasność, którą wokół siebie roztaczała, łatwo mogłaby uczynić z niej czterdziestolatkę. Wyglądałaby wtedy na rówieśników.

Pod fałdami długiego czerwonego szlafroka z jedwabiu nogi Altford wykonały kolisty ruch i po chwili ponownie siedziała tak, jak ją zastał. Pociągnęła łyk z butelki i spoglądała przez chwilę w milczeniu na Partaina, zanim się odezwała.

– Opowiedz mi o sobie, Nicku Patrokisie i pozostałych byłych agentach wywiadu, którzy nazywają się OZWW czy jakoś tak.

Partain również pociągnął łyk, nim odpowiedział.

– Stowarzyszenie nazywało się na początku Indywidualiści Wywiadu Wojskowego, co daje skrót IWW. Jednakże po proteście Instytutu Wojskowego Wirginii, również IWW, Nick i reszta zmienili skrót na OZWW, co nie wzbudziło już niczyich protestów.

– Od dawna jesteś członkiem stowarzyszenia?

– Wystąpiłem – powiedział Partain. – Nie stać mnie na składki.

– Ile musiałeś płacić?

– Dwadzieścia pięć.

– Dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo?

– Rocznie.

Uśmiechnęła się.

– Faktycznie jesteś splukany.

– Jestem ubogi – powiedział. – Wydaje mi się, że to niewielka, ale jednak istotna różnica. – Pociągnął jeszcze piwa i spytał. – Jak trafiłaś do Nicka?

– Jeden z moich byłych facetów jest dwugwiazdkowym generałem w stanie spoczynku? – zastanowiła się na głos ze wstępującą artykulacją, charakterystyczną dla Red River Valley i w ogóle większości mieszkańców Południa.

– Armia czy piechota morska?

– Armia. Prawdę powiedziawszy to jedyny generał, jakiego naprawdę znam. Kiedy był moim chłopakiem, u schyłku konfliktu w Korei, był kapitanem o dość zabawnych poglądach politycznych.

– Mianowicie?

– Należał do demokratów Stevensona.

– Z tego co czytałem, to faktycznie dość zabawnie.

– Z dziesięć lat później, na początku konfliktu wietnamskiego, był już pułkownikiem.

– Dość szybko szedł w górę.

– Był znakomitym oficerem. Do Wietnamu wysłali go w 65. roku, a w 67. zrobili go generałem. Zaraz po tym stuknęło mu dwadzieścia lat służby. W 68. skrytykował działania wojenne w Wietnamie i odszedł z czynnej służby.

– W tej kolejności?

Pomyślała przez chwilę.

– W tej.

– Ciągłe go widzujesz?

– Od tamtych czasów żenił się już dwa razy, a ja miałam trzech mężów. Raz na jakiś czas spotykamy się, żeby pogadać.

Gdy okazało się, że muszą kogoś wynająć, zadzwoniłam do niego i powiedziałam, że potrzebuję kogoś bystrego i silnego zarazem. Odrzekł, że te dwie cechy rzadko spotykają się w jednej osobie, ale jeżeli ktoś jest w stanie polecić odpowiedniego człowieka, to tylko Nick Patrokis. No i zadzwoniłam do Nicka, a on odzwoił i podał twoje nazwisko.

– Więc nie znacie się z Nickiem dobrze?

– Tylko przez telefon. Ale ty pewnie znasz go świetnie.

– Poznaliśmy się w Wietnamie, miał zasrane szczęście – powiedział Partain i czekał, aż Altford zapyta, o jakim to zasranym szczęściu mówi. Gdy tego nie uczyniła, jego opinia o niej wzrosła o parę stopni.

– OZWW to właściwie organizacja jednoosobowa. Nick jest współzałożycielem i prezesem. Ponadto to on troszczy się o fundusze, jest publicystą, biurem prasowym, bibliotekarzem, chłopcem na posyłki i wydawcą gazetki, która ukazuje się raz na jakiś czas. On oraz OZWW dzielą biuro z prywatnym detektywem przy Connecticut Avenue, parę budynków na północ od Dupont Circle... Znasz Waszyngton?

Kiwnęła głową.

– Biuro mieści się nad grecką restauracją, której właścicielem jest wujek Nicka. Nick jada tam za darmo. Wujcio jest także właścicielem budynku i nie pobiera od OZWW opłat za wynajem. W każdą sobotę po południu zjawia się tam niewielka grupka gniewnych członków, plus paru sympatyków.

Nawet jeden czy dwóch poszukiwaczy rozgłosu wpada tam od czasu do czasu, by porządzić, poutystkiwać, posprzątać, pomóc przy korespondencji i tak dalej.

Altford pokiwała głową na znak, że dowiedziała się o OZWW wystarczająco dużo.

– Jak stałeś się ofiarą zdrady wywiadu wojskowego? – spytała.

– Uderzyłem wyższego rangą oficera. Pozwolono mi zrezygnować z kariery dla dobra służby.

– Jaki miał stopień?

– Był pułkownikiem.

– A ty?

– Majorem.

– Mocno go uderzyłeś?

– Ostro skopałem mu dupę.

– Czemu?

– Koniecznie musisz znać powód?

– Tak jest. Sądzę, że muszę.

– Okłamał mnie.

– Gdzie to się stało?

– W Salwadorze.

– Kiedy?

– W siedemdziesiątym dziewiątym.

Nastąpiła cisza, ale zanim stała się niezręczna, Millicent Altford przerwała ją.

– Mówiłeś, że byłeś w Wietnamie. Nie jesteś za młody?

– Byłem. Od siedemdziesiątego do siedemdziesiątego piątego.

– Do samego zasranego końca?

Pokiwał głową.

– Myślałam, że w siedemdziesiątym trzecim wszyscy byliście już w domu.

– Paru zostało.

– Aż do siedemdziesiątego piątego?

Pokiwał znowu.

– A gdzie trafiłeś potem? – spytała.

– Na moment z powrotem do Stanów, następnie na cztery lata do Niemiec, potem do Tegucigalpa i Salwadoru.

– Dlaczego akurat tam? To znaczy, czemu cię tam posłali?

– Mówiłem sobie, że z to powodu nieprzeciętnych zdolności dowódczych. A naprawdę dlatego, że znam hiszpański.

– Nauczyłeś się w El Paso?

– Matka mnie nauczyła. Jej panięńskie nazwisko brzmiało Sandoval. Beatriz Sandoval.

– Ile lat w sumie służyłeś?

– Dziewiętnaście.

– Nie wypłacają ci emerytury?

– Ani centa.

– Gdzie ostatnio pracowałeś?

– Do Świąt byłem sprzedawcą w sklepie z bronią w Sheridan, Wyoming.

– Czemu przestałeś? Z przyczyn ekonomicznych?

– Przyczyną były niemożliwa do kompromisowego rozwiązania różnica zdań w kwestii zarządzania sklepem.

Altford uśmiechnęła się, odłożyła pustą już butelkę na stół do kawy. Przesuwała się na kanapie, z nogami ciągle skrzyżowanymi, aż znalazła się blisko Partaina.

– Czy chciałbyś dla mnie pracować?

– To zależy, przed kim lub przed czym się ukrywasz.

– Przed Little Rock.

Wydawało się, że kobieta spodziewa się, czy nawet oczekuje jakiejś reakcji, więc Partain zapytał: – Serio? I po chwili: – Dlaczego?

– Po części dlatego, że są niezmiernie wdzięczni za jeden przecinek sześć miliona gotówek, które zebrałam dla partii. Pał diabli, w tym celu mnie zatrudnili. Tak naprawdę, wdzięczni są za dwieście pięćdziesiąt cztery tysiące, które zebrałam dla

nich, nie dla partii, trzy dni za ledwie po pierwszej turze wyborów stanowych w New Hampshire. Co ty na to? Żeby to zrobić, musiałam porozmawiać z dwustu pięćdziesięciu czterema osobistymi przyjaciółmi, by wypisali mi czeki na tysiąc dolarów sztuka, na poczet kampanii Little Rock. Możesz być pewien, że dostarczyłam cały plik osobiście.

– To po co zabawa w chowanego?

– Ponieważ z powodu Little Rock chcą mi się jakoś odwdziżyć, co może oznaczać zrobienie mnie ambasadorem w Togo albo podobnym miejscu, a to nie jest zajęcie dla mnie. Nie chcę jednak ranić ich uczuć, więc wpisałam się tutaj z powodu poważnej choroby i mam zamiar zostać, póki wszystko nie ucichnie i o mnie nie zapomną, co – jak przypuszczam – potrwa jeszcze ze trzy dni. Może cztery.

– Tym się właśnie zajmujesz? Zbierasz pieniądze na cele polityczne?

– Mam nosa do interesów. Naprawdę. W zamierzonych czasach przychodziłam niekiedy do dzianych gości, którzy dzięki mnie znaleźli się szczebelek wyżej w ekonomicznej hierarchii. Z pomocą paru sprawdzonych znajomych, którzy z dużej kasy potrafią zrobić jeszcze większą, namawiałam ich do współpracy. Gdy idzie jak należy, otrzymuję niewielki procent z zysku, a ciułacze są mi do tego stopnia wdzięczni, że bez mała czekają, aż znowu do nich zajrzę i potrząsnę odrobinę ich drzewami gotówkowymi.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedział Partain. – Co miałbym robić dla ciebie?

– Milion dwieście tysięcy z politycznych funduszy zapadło się pod ziemię. Pieniądze najpewniej zostały ukradzione, może sprzeniewierzone. Chcę je odzyskać.

– Nie wiedziałbym, gdzie zacząć.

– Ja wiem – odrzekła. – Niemniej gdy się do tego wezmę – o słodki Jezu, przez cały dzień czekałam, żeby to powiedzieć – potrzebuję kogoś z giwerą, żeby mi osłaniał plecy.

Partain uśmiechnął się.

– Powinienem dać sobie radę.